112

Adam Cebula "Nic o koronawirusie"

Adam Cebula

Już dawno temu połapałem się, że oglądam programy historyczne nie po to, żeby dowiedzieć się, co gdzieś kiedyś spotkało ludzi, ale po to, aby poznać poglądy autorów. I czego się dowiaduję? Na przykład tego, co – jak się zastanowić – jest dość oczywiste: że historia Polski i jest nieznana, i mało kogo obchodzi. W programie poświęconym niemieckiemu lotnictwu do zdjęć przedstawiających atak na sowieckie lotniska lektor informował o tym, że polskie samoloty nie zdążyły wystartować i zostały zniszczone na ziemi. Tymczasem nie zostały. Polski nie udało się Niemcom zaskoczyć jak ZSRR czy jak Japończykom USA w Pearl Harbor. Gdyby polska obrona nie posypała się na centralnym szczeblu dowodzenia, prawdopodobnie hitlerowcy pożałowaliby pomysłu wywoływania wojny.

W programie o niemieckich czołgach musiało być coś o bitwie pod Kurskiem i słynnej batalii o wieś Prochorowka. No i autor przedstawił swoja wersję wydarzeń. Że właściwie to zwyciężyli hitlerowcy, tracąc jakieś 5 czołgów wobec 235 rozbitych radzieckich. Skąd ta wersja? To wynik badań Svena Felixa Kellerhoffa z „Die Welt”, który znalazł w amerykańskich archiwach niemieckie zdjęcia lotnicze.

Z takimi odkryciami po latach, zwłaszcza dokonywanymi przez dziennikarzy, jest trudno dyskutować. Pada zwykle mnóstwo szczegółowych argumentów, zazwyczaj kwestionuje się to, co do tej pory uważano za pewne. Nie ma też sensu w dyskusjach „wypalać do ziemi" poglądów adwersarza. Warto za to takie starcia wykorzystać do poukładania w głowie samemu sobie. Co w tym sporze jest charakterystycznego? A mianowicie, że chce się jakieś wydarzenie przedstawić zupełnie inaczej niż do tej pory było przedstawiane. Znaliśmy pewną wersję… a jeśli przedstawimy inną, wręcz przeciwną, to…? To z pewnością zyskamy zainteresowanie! Zwłaszcza gdy ta inna wersja odpowiada zapotrzebowaniu na tworzenie pewnego aktualnie nam pasującego obrazu świata.

Bo ostatnio nie lubimy ruskich, załatwił to Rosjanom Putin. Do czasów Jelcyna jawili się jako powracający na łono cywilizacji, ale powrót konfrontacyjnej retoryki rosyjskiej dyplomacji spowodował, że zmienił się stosunek do wszystkiego, co rosyjskie.

Dobrze jednak wiedzieć, jak było, albo jest naprawdę. A naprawdę to nie można kwestionować, że na łuku kurskim sowieci spuścili brunatnym straszliwy łomot. Po tej kampanii nie znajdziemy już ani jednej próby prowadzenia większej operacji zaczepnej przez hitlerowców na froncie wschodnim. Tam zdarzyła się katastrofa, po której można było już tylko mniej lub bardziej udatnie powstrzymywać marsz Armii Czerwonej.

Nie ma za bardzo sensu dyskutować, jak naprawdę przebiegła bitwa pod Prochorowką, ale trzeba jednak odpowiedzieć, gdzie w takim razie Niemcy stracili te 1300 czołgów? Ile stracili sowieci wiadomo dokładnie, jakieś 4,7 raza więcej, Wikipedia podaje liczbę 6064.

Sowieci także mieli wielokrotnie większe straty bezpowrotne w ludziach – w okolicy 254 470 (że policzono co do jednej głowy, to wątpliwe) a Niemcy 577 00 (tu wiemy, że pi razy drzwi, a nie do sztuki). Mimo to czerwoni natychmiast przystąpili do ofensywy.

Wdawanie się w szczegółowe dyskusje, co widać na hitlerowskich zdjęciach lotniczych i co z tego wynika, jest dość próżnym zajęciem. Warto natomiast zastanowić się, jakimi drogami chodzi nasze samodezinformowanie. Po co to robimy? Podejrzewam, że głównie dla poprawienia sobie samopoczucia. Być może dla zjednania sobie poplecznikow, powodów pewnie znajdzie się jeszcze trochę. Jednak z dezinformacji nie wyniknie nic dobrego.

Czemu ludzie skręcają ciągle ku komunie? Śmiertelny wróg sowietów, narodowy socjalizm, Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników (po ichniemu Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei) nie tylko z nazwy była socjalistyczna. Poniekąd, ku mojemu zdziwieniu, z tych audycji i popularnonaukowych artykułów poskładałem sobie chyba historię nazistowskiej katastrofy i wychodzi na to, że oni się tam wysadzili w powietrze w typowo komunistyczny sposób. Zanim jeszcze zaatakowali Polskę, już można było przypuszczać, że na łuku kurskim dostaną łomot. Jedną z postaci, która wspaniale pasuje do tej historii, był Ernst Udet. W czasie pierwszej wojny światowej as lotnictwa, potem birbant i bawidamek, a po zagarnięciu przez nazistów władzy brunatne książątko, a może nawet książę. Gość odpowiedzialny za rozwój niemieckiego lotnictwa, szef Technisches Amt. Osobna sprawa, na ile spowodował to, że Heinkel He 177, jedyny hitlerowski bombowiec dalekiego zasięgu, pozostał latającym złomem. Fakt jest taki: większość źródeł wspomina, że ów playboy i w tamtym czasie chyba już regularny alkoholik chciał wszystkie samoloty przystosować do bombardowania w locie nurkowym.

Techniczne szczegóły to trochę inna historia, wielki He 177 się do tego nie nadawał, istotą rzeczy jest, że zamordystyczny rząd pozwalał, by ręcznie sterować wszystkim w całym kraju. Książątkami dyktatur nie zostają ani faktyczni specjaliści, ani ludzie zdolni. To specyficzny typ człowieka, który w rezultacie robi krzywdę nie tylko sobie, ale wielu innym ludziom. Tylko głupiec, do tego pewny siebie i swej wszechwiedzy, w takich warunkach, jakie tworzyła III Rzesza, chciał przewodzić

czemukolwiek. W systemie sowieckim nazwaliśmy by go „aparatczykiem".

Udet rozdawał pieniądze, podpisywał kontrakty, osobiście wybierając, co kupić, co projektować, narzucając szczegółowe parametry i rozwiązania techniczne. Skutkiem tej polityki było rozłożenie nie tylko niemieckiego lotnictwa, ale i przemysłu. Trudno powiedzieć z całą pewnością, czy Udet strzelił sobie w łeb z powodu przegranej bitwy o Anglię, czy kochanki, czy w pijackim amoku.

Istotą opowieści jest, że wszystkie dyktatury podążają szlakiem wytyczonym przez Stalina i Lenina. Branie za twarz wszystkiego i brak kontroli zawsze kończy się czymś, co komuniści lotnie nazwali „centralnym planowaniem", a w rzeczywistości jest realizacją widzimisia oderwanego od rzeczywistości. Gdy ktoś udowadnia, że łatwo naprawi ten świat, to różne dziwne pomysły: wyłączyć mechanizmy rynkowe, zawiesić mechanizmy kontrolne, zwykle jeszcze machnąć ręką na fizyczne ograniczenia i próbować robić coś, czego zrobić się nie da.

Zamordyzmy, które chcą naprawiać świat, mają zwykle silną tendencję, żeby na ważnych stanowiskach nie umieszczać zwykłego złodzieja (co jest w sumie zazwyczaj nawet korzystne dla kraju), nawet nie zwykłego durnia (co pewnie jest złe, ale nie katastrofalne), ale wsadza się tam nawiedzonych durniów z misją realizowania czegoś wydumanego. No właśnie: jeśli mamy polskie wyobrażenie o tzw. „prawdziwym komuniście" – jak ów wyglądał – to najlepiej pasuje Udet, choć był członkiem NSDAP.

Aby odróżnić nawiedzonego durnia od geniusza, często nie obejdzie się bez posiadania specjalistycznej wiedzy. Zarówno jeden, jak i drugi potrafi przedstawić spójną i bardzo przekonywającą wizję, przy czym dureń zazwyczaj ma ją bardziej przekonującą. Zazwyczaj w walce o serca publiczności najmniejsze szanse ma uczony. Powód takiego stanu rzeczy jest dość prosty: jego rozumowanie chodzi wyuczonymi i bardzo stromymi ścieżkami. Przeciętny człowiek nie potrafi posługiwać się aparatem matematycznym, nie ma umiejętności abstrahowania, dzielenia problemu na części i potem ponownego łączenia w całość. Argumenty uczonego rozumie zwykle inny uczony. Zaś zwykły człowiek nie rozumie uczonego, ale zachwyca się zrozumiałym dla niego nawiedzonym durniem i nie potrafi dostrzec oczywistych błędów, jakie on popełnia.

Argumenty durnia są zwykle bardzo obrazowe. W każdym zamordyzmie mamy budowę wiatraka, jaki budowano w folwarku zwierzęcym. Zauważmy, że mamy właśnie okres budowy wiatraków (ale to osobna sprawa). Z jakichś powodów ta maszyna wyjątkowo łatwo trafia do szerokiej publiczności. Inna tradycyjna wielka inwestycja to budowle wodne – moim zdaniem przekop Mierzei Wiślanej spełnia kryteria.

Zapomnieliśmy, co było złego w socjalizmie. Większość współczesnych, nawet zajadłych „prawicowców" atakujących ten system, który moim zdaniem zniknął już z powierzchni Ziemi (w Chinach mamy „państwowy kapitalizm", a z socjalizmu został tylko zamordyzm i czerwony sztandar), nie ma zielonego pojęcia skąd to się wzięło. I oczywiście, zwalczając zajadle „postkomunistów" używa dokładnie tych samych samych metod co oni, ale za to o wiele gorszych argumentów. A faktycznie jak jest? Ano, jak wszyscy czerwoni rewolucjoniści, zwalczają pod swoimi prawicowymi sztandarami kapitalizm, bo jest liberalny (czy cóś temu podobnego).

Problem w tym, że o ile czerwoni ponieśli klęskę, to nie byli durniami, i dlatego ich system przetrwał prawie cały XX wiek. Pomysł rozwalenia gospodarki kapitalistycznej nie wziął się z sufitu, to także kłopot, który powoduje, że współcześni rewolucjoniści wpadają dokładnie na te same pomysły, co Marks, Engels i Lenin. Kapitalizm ma koszmarne wady, można powiedzieć, że jest świetnym systemem tylko na pewnym etapie rozwoju. Ale szybko się w nim knoci i dochodzi do takich absurdów jak topienie zboża w morzu dla utrzymania cen. To dziś się robi pod niewinną nazwą „pozycjonowania produktu", ale działa tak samo.

Z tego, że faktycznie psuje się urządzenia, by odpowiednio je „spozycjonować", biorą się pomysły współczesnych populistów, aby metodami komunistów regulować gospodarkę, na przykład za pieniądze podatnika uruchamiać produkcję czegoś.

Choć hitlerowcy nie zakwestionowali prywatnej własności, nie wywłaszczyli fabrykantów, doprowadzili do tego, że fabrykami zarządzali państwowi funkcjonariusze. Do tego stopnia, że narzucali konkretne techniczne rozwiązania. Tak jak właśnie Udet wymuszał, by każdy samolot mógł nurkować.

To, że czołg T-34 wygrał II wojnę światową, przyznają już często bardzo antysowiecko nastawieni historycy. Że był to jeżdżący wojenny złom, to opinia i prawdziwa, i znana od dawna. Aliści po latach do szerszej publiczności dociera to, co dla sowiecki planistów było oczywiste.

Nie chodziło o zbudowanie broni doskonałej. Chodziło o wyprodukowanie czegoś, co pozwoli wygrać ten konkretny konflikt. Nie wiem, na ile oceniano „czas życia" czołgu T-34 w walce, ale musiało to być bardzo krótko, coś mi się przypomina, że jakieś pół godziny. Z przyczyny, że był ów czołg jedynie materiałem wojennym o mocno ograniczonej trwałości, miał kiepski pancerz, peryskop z polerowanej stali oraz wielki właz mechanika, przez który załoga wiała w przypadku trafienia. Tak, Niemcy zorientowali się, że to słaby punkt i celowali w ów właz, ale sumarycznie ratował on załogę.

Sądziłem, że napęd na ropę był pochodną masowej produkcji traktorów, ale jest wiele dowodów, że zastosowano go z rozmysłem. Ropa pali się dużo gorzej niż benzyna. To także przez benzynę załoga M4 Shermana miała kiepskie szanse w wypadku trafienia. Inna sprawa, że tę wadę potem usiłowano wyeliminować, ale faktem jest, że sowieci, którzy bez umiaru szafowali ludzkim życiem, od razu przewidzieli, że dobrze będzie, gdy załodze uda się uciec z trafionej maszyny. Że to działało, wydaje się wynikać z wielu opisów. Niektóre załogi traciły po kilka razy swoje maszyny. Jakoś nie pojawia się wniosek, że skoro realny czas ucieczki z amerykańskiego czołgu wynosił 30-45 sekund, był on jeżdżącą trumną i zasługiwał na przezwisko Tommy Kocher.

Cecha kolejna: remotowalność. Złom o nazwie T-34 był niejako „czołgiem odzyskiwalnym". Z opisów bitew wynika, że wielokrotnie zdarzało się, że po rozbiciu maszyny technicy potrafili uruchomić ją w ciągu nocy i to pomimo tego, że spłonęła, miała zniszczony silnik, została trafiona ciężkim pociskiem przeciwpancernym i wyglądała jak wrak.

Czołg miał cechę, na którą wielki nacisk kład osobiście Stalin: dawał się masowo produkować. To samo było z shermanem: największą zaletą obu czołgów było, że powstawały w ogromnych ilościach. Zarówno w komunizmie, jak i w sercu kapitalizmu rozumiano prostą rzecz: II wojna światowa jest starciem przemysłów.

Ale też to przecież Anglicy jako pierwsi w I wojnie światowej zastosowali czołgi. To oni wymyślili, do czego będą służyć: do przełamania linii obronnych i wsparcia piechoty. Zapewne nie potrzeba do tego wielkiego myśliciela, w ogólności bardzo złym pomysłem jest zwalczanie broni tą samą bronią. Jeśli na polu walki coś nam zagraża, to do zniszczenia tego czegoś używamy najchętniej wyspecjalizowanego uzbrojenia, które daje nam możliwie największą przewagę.

Ani sowieci, ani kapitaliści nie projektowali swoich czołgów do prowadzenia walk pancernych. Erwin Rommel dlatego używał słynnych Acht-Acht, że strzelały one spoza zasięgu armat czołgowych. Bitwa pancerna to nieszczęście, wynik pomyłki dowódców, coś, czego trzeba unikać. Owszem, można pogrubić pancerz czołgu i uczynić go odpornym na ogień różnych typów broni, by wytrzymał np. trafienie z krótkolufowego działa PzKpfw IV. Ale pomysł zrobienia czegoś z pancerzem tak grubym, jaki miał Panzerkampfwagen VI B Tiger II, był pomyłką. Bo te czołgi nie dość, że nie były dość odporne na pociski przeciwpancerne, to dodatkowo nie mogły jeździć. Potyczka pod Oględowem

skończyła się klęską, zamaskowany T-34/85 trafił trzy niemieckie czołgi, reszta została zmuszona do odwrotu, w trakcie którego porzucono trzy całkowicie sprawne czołgi Tiger II. Zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie po zdobyciu nowych maszyn hitlerowców doszli do wniosku, że to się do niczego nie nadaje.

Prawdziwym nieszczęściem było jednak coś, co – badając gotową maszynę – trudno zauważyć. To pracochłonność. Można wygrzebać dane, z których wynika, że w czasie, w którym budowano jednego Tygrysa, ten sam zespół ludzi mógłby w sowieckiej fabryce wyprodukować nawet 81 sztuk T-34.

Na ile te liczby są prawdziwe, to inna sprawa, raczej dość pewne są dane co do ilości wyprodukowanych egzemplarzy: 1355 wersji Panzerkampfwagen VI Tiger i 487 Panzerkampfwagen VI B Tiger II. Jak podaje Wikipedia, najwyższy stan liczebny „zwykłych" Tygrysów osiągnięto na foncie wschodnim 1 maja 1944 roku, gdy ich liczba doszła do 301, z czego 242 były sprawne. W maju stracono 108 sztuk tych czołgów, w następnym miesiącu tyle samo.

Ponad połowa maszyn padła nie w walce, tylko na skutek awarii albo wypadków, które w istocie były skutkiem megalomańskiej koncepcji. Na przykład załamywały się pod nimi mosty albo padały przeciążone silniki, a serwis, który usiłowano im zapewnić, nie miał czym wyciągnąć czołgu, nie miał części, wozów technicznych ze specjalistycznym wyposażeniem czy najzwyczajniej w świecie brakowało paliwa – i wspaniałe Tygrysy porzucano.

Sowieci, gdy projektowali swoje T-34, wiedzieli, że szereg osiągów nie może być gorszych niż pewna wartość, bo inaczej czołg nie będzie się nadawał do walki. Nawet wówczas gdy na pierwszy rzut oka ten parametr wydaje się kompletnie nieważny. Na przykład maszyna musi przejechać jakieś 300 km na jednym tankowaniu. Ta „niebojowa" wartość w praktyce frontowej miała często zasadnicze znaczenie gdy po prostu nie docierało zaopatrzenie. Tymczasem Tygrysy w polu przejeżdżały w terenie 60-80 km na zbiorniku paliwa mieszczącym 860 litrów benzyny.

Za takim projektem kryła się pewna naiwność. Chyba nawet wiadomo, że Hitlera. Jeśli założymy, że nic nie nawali w organizacji zaplecza frontu, to jest wielka pokusa, by zbudować ogromną „niezniszczalną" maszynę. Paliwo w kalkulacjach wojskowych znika z pola uwagi jako zbyt trywialny i zbyt oczywisty artykuł. Jego dostarczenie to już nie jest problem ani czołgistów, ani tym bardziej ich projektantów. O ile zaopatrzenie nie nawali, będziemy zwyciężać. Zapewne takimi ścieżkami szło myślenie.

Tymczasem sowieci uwzględnili całe otoczenie, wiedzieli, że to zaopatrzenie nie działa tak, jak by sobie wodzowie wymarzyli, wiedzieli że bezpieczniej na front wieźć trudno palną ropę, bo bajec musi od czasu do czasu *zakurić* skręta i nie odejdzie od cysterny na bezpieczną odległość, że ropę trudniej *pomieniać na wodku*. Olej napędowy to nie jest produkt konkurencyjny do benzyny. Pomimo tego wszystkiego na frocie i tak może go zabraknąć, bo na przykład na drogę spadnie bomba, zawali się most, konwój z paliwem zaatakują samoloty albo pogubią się jakieś papiery. Czołg powinien jeździć do czasu, gdy je znajdą. Sowieci wypraktykowali, że te zgubione papiery są wystarczającym powodem, aby pancerz nie był dowolnie gruby w stosunku do pojemności zbiorników.

Komuniści przymuszeni potrafili się trzymać realiów. Stalin podobno osobiście wstrzymał przygotowane już uruchomienie produkcji T-43, czołgu, który miał być odpowiedzią na Tygrysy i Pantery. Zamiast niego wprowadzono T-34/85, zmodyfikowaną wersję T-34 z większym działem. Kalkulacja była prosta: nowy typ czołgu mógł kosztować zmniejszenie tempa produkcji. W sytuacji gdy walczyły one średnio pół godziny, ważniejsza była ilość, żeby jakieś czołgi w ogóle były.

Oczywiście można dyskutować, czy decyzja była słuszna, ale np. Anglicy swój myśliwiec odrzutowy gloster meteor (choć wszedł do służby 1 sierpnia 1944 roku i prawdopodobnie nie był takim

latającym złomem jak ME 262), traktowali jak eksperymentalną ciekawostkę. Samoloty te nie toczyły walk powietrznych z samolotami jedynie strąciły ich dwanaście i pół (skąd pół, wiedzą miłośnicy starych karabinów, zapewne chodzi o zestrzelenie na spółkę z innym samolotem). Podobnie traktowano inny samolot, de havilland vampire, który był testowany od 20 września 1943 roku, ale z produkcją zwlekano i pierwsze seryjne maszyny pojawiły się dopiero w kwietniu 1945 roku. Zarówno kapitaliści, jak komuniści kalkulowali wedle wojennej ekonomii i po obu stronach wychodziło, że – jak powiedział Stalin (podobno…) – Ilość jest jakością samą w sobie.

Nie ma sensu dociekać, jak to naprawdę było pod Prochorowką było. Warto sobie natomiast zauważyć, że po dziesiątkach lat wracają legendy wyprodukowane przez propagandę, którą kierował Joseph Goebbels. To ona wykreowała takich rycerzy jak Michael Wittmann. W opisach jego akcji pod Villers-Bocage rozbite ciężarówki zamieniły się w czołgi, a bałagan, jakiemu winni byli Brytyjczycy, i przez który zdarzenia potoczyły się dla nich tak fatalnie, zamieniono na geniusz niemieckiego herosa.

Jeśli chodzi o bitwę pod Prochorowką, to w sieci można znaleźć wiele relacji, w których powtarzają się podobne dane: zniszczono ok 220 czołgów sowieckich i ok. 150 niemieckich. Powtarza się też relacja o walce na bardzo krótkim dystansie. Gdy jednak mijają lata i umierają bezpośredni świadkowie, zaciera w ludzkiej głowie świadomość różnych okoliczności towarzyszącym wydarzeniom. Cóż, jeśli podpadniemy jeszcze bardziej cywilizowanemu światu, to jak już usłyszeliśmy alternatywną wersję odsieczy wiedeńskiej, to i dowiemy się, że Jagiełło pod Grunwaldem dostał w gruncie rzeczy łomot od kwiatu rycerstwa europejskiego.

Powody retuszowania historii wydają się oczywiste: zawszeć to przyjemniej pomyśleć, że nim nasi z podwiniętym ogonem zwiewali spod Kurska, to dzielnie przeciw czerwonym stawali, a Putin nie ma się dziś czym chwalić.

Problem w tym, aby czegoś z historii się nauczyć, a z podrasowanych wersji na pewno nic mądrego nie wyniknie.

Sowieci byli nawiedzeni, popełniali mnóstwo błędów, ale znacznie większym nieszczęściem jest ich lekceważenie. Nazizm przetrwał przy władzy od końca stycznia roku 1933 do maja 1945. Komuniści w Rosji rządzili dobre 70 lat, a czas ich rządów nie skończył się totalną katastrofą. Mówiąc prawdę, dalej mamy w Rosji u władzy tych samych komunistów, i to z takim samym imperialistycznym zacięciem.

Że Sowieci komunikowali się z najpierw z Niemcami, a potem z hitlerowcami, to po prostu historyczny fakt. Że nazizm był ludową, zwulgaryzowaną wersją komunizmu, to już mój sposób myślenia. Teza dyskusyjna, ale jednak bardzo dobrze sprawdza się w wyjaśnianiu historii. Ot, taki szczegół: w partiach komunistycznych zawsze najbardziej zajadłe i krwawe były wewnętrzne walki frakcyjne. Czy to czasem nie wyjaśnia wyjątkowo bezwzględnej walki Hitlera z komunistami? To ich wymordował najpierw, prawie natychmiast po dojściu do władzy, potem była dość długa przerwa, nim popełnił resztę zbrodni.

Naziści odwalili sporo głupot tej miary, że właściwie każda z osobna była w stanie ich zatopić. Jedno z dziwactw, o którym się dziś rzadko pamięta, jest takie, że ideolodzy hitlerowscy uznawali handel międzynarodowy i międzynarodowy podział pracy za żydowski wymysł. Ich zdaniem zdrowy kraj jest samowystarczalny. A jak czegoś nie ma, na przykład złóż ropy naftowej, to trzeba zaatakować ZSRR, żeby je zdobyć. Inne dziwactwo to niechęć do technologii produkcji taśmowej. Umiłowanie tradycji, także cechowej, z wysoką pozycją mistrza, spowodowało, że gdy się połapali podczas wojny, że warunkach alianckich nalotów mogą produkować okręty podwodne jedynie dzieląc pracę na wiele stoczni, nie byli w stanie dotrzymać warunków technicznych. Nie mieli systemu kontroli jakości

poszczególnych operacji. Moduły wytwarzane w różnych stoczniach miały, banalna sprawa, różne wymiary, nie pasowały do siebie. Wspaniałe Tygrysy i Pantery były składane niczym dziś bentleye. Nie na taśmie, tylko na stanowisku montażowym. Nie wykorzystano pomysłu, który był siłą XVIII-wiecznych manufaktur, czyli podziału roboty na wiele prostych operacji, których był w stanie się nauczyć i opanować do perfekcji prosty robotnik. Montażu musiał dokonywać mistrz, ktoś z wysokimi kwalifikacjami, który oczywiście musiał umieć przeprowadzić cały proces.

W tym samym czasie stocznie Henry'go J. Kaisera wypuszczały produkowane w systemie potokowym słynne liberciaki. Wyskakiwały ze stoczni jak odbijane ze sztancy, najkrótszy czas budowy jednostki to 4 dni, 15 godzin i 30 minut. W ZSRR produkowano miesięcznie 1200 sztuk T-34, w sumie w latach 1940-1945 zbudowano ich ponad 57 tysięcy. Komuniści i kapitaliści czerpali pełnymi garściami z „żydowskich" wynalazków: metody masowej produkcji czy handlu. Lend-Lease Act, (https://pl.wikipedia.org/wiki/Lend-Lease_Act), w ramach której ponoć narodziła się *swinnaja tuszonka*, to był właśnie przykład takiej trochę (oj, chyba całkiem...) karkołomnej operacji na typowych produktach żydowsko-kapitalistycznego systemu bankowego, czyli papierach wartościowych. Kto w końcu zapłacił za konserwy i ciężarówki studebaker US-6, to zadanie pewnie równie skomplikowane jak rozwikłanie, o co chodziło w interesie z rozsławionego przez kabaret Dudek szmoncesu „Sęk". Nie identyfikuję się z poglądami zalinkowanego autora, lecz akapity poświęcone genialnemu tekstowi są chyba świetną ilustracją. Szczerze mówiąc, trudno się dziwić Hitlerowi, że widząc ten stopień komplikacji, uznał, że jedynym wyjściem jest wysłanie wojska. Tym niemniej sowieci w interesach w stylu Benka Rapaporta całkiem nieźle się czuli, kupowali i sprzedawali i chyba w końcu dostawali te swoje dwadzieścia procent (czytaj: „sęk"). Hitlerowcy prowadzili handel w szczątkowym zakresie, głównie rabowali, nie potrafili nawet kupić czasu pracy robotnika, wrócili do systemu niewolniczego. W efekcie ocenia się, że przemysł podbitych krajów dawał około jedną dziesiątą produkcji sprzed zaborów.

Wniosek, że nie doceniamy sowietów, nie jest specjalnie cenny: słowo się rzekło, nie ma ZSRR. Ważniejsza jest inna obserwacja: kiedy ktoś ma pomysły na radykalne poprawienie świata, to niech poczyta sobie Marksa i Lenina. Oni już to lepiej wymyślili. Nie ma znaczenia, czy czemuś przykleja się prawicową czy lewicową etykietkę, geniuszom od uszczęśliwiania ludzkości zawsze przychodzą do łepetyn bardzo podobne pomysły. Jest zawsze jakiś wróg ludu, ktoś obcy rasowo albo klasowo, byle dało się go łatwo wskazać, na przykład kryptokomunista. Pomysły ekonomiczne obracają się wokół centralnego planowania. Można powiedzieć, że w ZSRR gdzie było ono oficjalne, ale przyniosło mniej szkód niż w III Rzeszy.

Komuniści tylko w jednym przegrywają z im współczesnymi i obecnymi populistami: w propagandzie. Powód? Oni jednak traktowali bardzo poważnie intelektualistów. Był Łysenko, ale i Sacharow, wzorcowo śmieszna *russkaja tiechnika,* ale i kałasz, który jest uznawany za jedną z najlepiej przemyślanych konstrukcji. Sowieci wiedzieli, jaka siła siedzi w wiedzy, dlatego przesadnie poważali mądrych i tych uważanych za mądrych. Z jakichś powodów nie potrafili konstruować przekazu do głupich. „Ciemny lud" raczej w kalkulacjach ich propagandystów nie występował, jeśli uprawiali propagandę i kłamali, to nie tak nachalnie... jak to się robi dziś.

Uczestnicy bitwy pod Prochorowką poumierali, psa z kulawą nogą obchodzi, jak było naprawdę. W kulturze masowej działają prawa, które wymyślał imć Joseph Goebbels. W World of Tanks (czy jak temu, nie będę udawał, że się znam) historyczny obraz wojny jest szkodliwy, podejrzewam, że trzymanie się go pogrzebałoby tak zwaną grywalność do zera. Albowiem historyczna prawda jest taka, że zmotoryzowanie armii hitlerowskiej było dużo gorsze niż nawet sowieckiej. Podstawą transportu były konie. Amerykańscy żołnierze z bitwy pod Falaise jako jedno z najkoszmarniejszych wspomnień zachowali tysiące zabitych i rannych koni. Naziści w II wojnie potrzebowali jakieś 2,5 miliona koni, milion więcej niż miała niemiecka armia w I wojnie światowej. Obowiązujący w kulturze masowej obraz hitlerowców jadących przez podbite kraje Tygrysami I Panterami wykreowała

propaganda Goebbelsa. Operatorzy filmowi mieli zakaz kręcenia konnych zaprzęgów, furmanek, wreszcie wózków ręcznych ciągnionych przez pojedynczych żołnierzy. A to był prawdziwy obraz niemieckiej armii.

Czym podpadła Prochorowka niemieckim dziennikarzom, prócz tego, że sowieci mieli tam spuścić Niemcom manto? Wedle oficjalnych wersji zdarzenia biegły tak, że najpierw zaatakowali Niemcy i zostali zatrzymani. Wówczas to 5. Gwardyjska Armia Pancerna wyprowadziła przeciw II Korpusowi Pancernemu SS to desperackie kontruderzenie, opisywane zarówno w sowieckich, jak i niemieckich relacjach. Sowieci wiedzieli, że hitlerowcy liczą na zasięg dział swoich czołgów, które tak jak Acht-Acht użyte przez Rommla w Afryce rozbiją nacierające maszyny, nim zbliżą się na niebezpieczną odległość. Dlatego mieli nakazać czołgistom atak na maksymalnej prędkości. Niezależnie od tego, czy rację ma Sven Felix Kellerhoff, czy też liczni cytowani w sieci świadkowie bitwy, także Niemcy, którzy opisują dramatyczne pancerne starcie na bezpośrednim dystansie z taranowaniem nieprzyjacielskich maszyn, wiadomo, jaki był wynik: pancerny korpus SS został zatrzymany. Tym samym załamało się niemieckie natarcie od południa na łuk kurski.

W opisanej historii jest to coś, co nijak nie mieści się we współczesnej popkulturze. Temu Piotr Zychowicz poświęcił całą książkę (a może kilka, bo nie czytałem reszty…) „Opcja niemiecka”. I poległ na temacie. Ten problem to konieczność poświęcenia. Sprawa z pozoru dość oczywista dla narodu z taką historią jak Polska, lecz po kilkudziesięciu latach od dramatycznych zdarzeń już kompletnie niezrozumiała. Poświęcenie wyrzuca opowieść z łatwego obszaru popkultury w trudne rejony wymagające dojrzałego systemu wartości. Tymczasem w masowej kulturze XXI wieku – także politycznej – najwyższą i jedyną dopuszczalną nagrodą dla obywatela jest szybka osobista korzyść.

Tymczasem sowieccy czołgiści (inna sprawa, jak bardzo zachęcani przez oficerów bezpieki) ponieśli ofiarę, która przechyliła szalę zwycięstwa. Tu pies pogrzebion: dla współczesnego polityka populisty ofiara zawsze jest głupotą, jeśli ktoś się poświęca, trzeba wykazać, że nadaremno. Ofiara rozwala prosty knajacki przekaz, że jak będziesz cwaniaczył razem z nami, to zawsze będziesz górą.

A to nieprawda. I nie będzie inaczej niezależnie od tego, jak z tą Prochorowka było. Słowo wyżej się rzekło: historia jest nauczycielką, pod warunkiem że opowiadamy sobie prawdziwe historie.

Adam Cebula